

Ray Bradbury

# Łazarzu, wstań

(Lazarus Come Forth)

Planet Stories, Winter 1944

Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

## © Public Domain

This text is translation of the short story "Lazarus Come Forth" by Ray Bradbury, first publication in Planet Stories, Winter 1944.

Extensive research did not uncover any evidence that the U.S. copyright on this publication was renewed.

It is assumed that this copyright notice explains the legal situation in the United States. Copyright laws in most countries are in a constant state of change. If you are outside the United States, check the laws of the appropriate country.

Copyright for the translation is transferred by the translator to the Public Domain.

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:

[http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB\\_kolekcja%22&sort=-publicdate](http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate)

**S**posób w jaki Logan się roześmiał, nie był przyjemny.

— Brandon, tam na górze, w śluzie powietrznej, mamy nowe ciało. Zechciałbyś może wejść po drabinie i zerknąć na nie.

W oczach Logana widać było jakiś zielony błysk, ochoty i zdecydowania. Były złe, obsceniczne.

Brandon zaklął pod nosem. To pomieszczenie Statku Kostnicy było za ciasne dla tłumu tworzonego przez ich dwie osobowości. Towarzyszyły im tu jedynie dziesiątki wypełnionych ciałami półek chłodzących, uporczywa wibracja stołów sekcyjnych i obracającej się pod nimi maszynerii. A Logan również przypominał małą maszynę, której nigdy nie zamykały się usta.

— Zostaw mnie w spokoju. — Brandon wstał, wysoki i wychudzony upływem lat, wyglądając równie staro, jak kostropaty meteor. — Po prostu siedź cicho.

Logan zaciągnął się dymem z papierosa.

— Boisz się pójść na górę? Boisz się, że ten którego tym razem wyłapaliśmy, to może być twój syn?

Brandon znalazł się przy Loganie jednym, długim krokiem i, podczas gdy Statek Kostnica sunął dalej powoli przez kosmos, złapał za niebieski mundur koronera, potrząsając stertą drobnych kości znajdującą się w jego wnętrzu i uniósł go do góry, opierając plecami o ścianę i dociskając do chwili, kiedy Logan nie był w stanie już oddychać. Powietrze z płuc Logana zostało wypchnięte, a jego oczy wyglądały na bezradne. Próbował coś powiedzieć, ale mógł tylko chrząkać jak związana świnia. Wymachiwał swymi krótkimi rączkami, trzepocząc nimi bezwładnie w powietrzu.

Brandon potrzymał go tak, ukrzyżowanego na swojej pięści.

— Mówiłem ci. Pozwól mi szukać ciała mojego syna, na mój własny sposób. Nie potrzebuję tego twojego gadania.

Oczy Logana straciły swój blask, robiły się szkliste i niewidzące. Brandon cofnął się o krok, puszczając małego asystenta. Logan upadł miękko na metalową podłogę, jego usta łykały łapczywie powietrze, nozdrza wydymały się oddechem. Brandon przyglądał się małej twarzy Logana, stojąc ponad jego skulonym, dyszącym ciałem, twarzy na której z każdą mijającą sekundą nabierały intensywności czerwone barwy gniewu.

— Tchórz! — wyrzucił z siebie Logan. — Masz cykora, śmierdzisz tym na odległość, całym ciałem. Tchórz. Nigdy nie byłeś na żadnej wojnie. Nigdy nie zrobiłeś niczego dla Ziemi, przeciwko Marsowi.

Brandon wypowiedział te słowa, w zwolnionym tempie:

— Zamknij się.

— A czemu? — Logan odczołgiwał się dalej, przesuając się z wolna wzdłuż ściany. Pompy krwi pod zwisającymi ze stołów nakryciami, pulsowały w gorącej ciszy. — Co, prawda cię boli? Twój syn powinien być z

ciebie dumny, zgadza się. Ha! — Zakaszłał i splunął. — Tak się cholernie ciebie wstydził, że uciekł i zaciągnął się do sił kosmicznych. A potem wyleciał ze swojego statku w czasie bitwy. — Logan oblizał wargi, bardzo dokładnie. — A ty, żeby odkupić swoją winę, zaciągnąłeś się na Statek Kostnicę. Żeby spróbować odnaleźć ciało syna. Żeby spróbować to naprawić. Znam cię. Nigdy byś nie dołączył do Kosmicznych Wojowników, żeby walczyć. Nie masz do tego dostatecznych jaj. Musiałeś sobie znaleźć fajną, prostą robotę na statku kostnicy...

Na wychudzonych policzkach Brandona pojawiły się zmarszczki, oczy miał zamknięte, blade powieki. Powiedział, jakby starał się sam w to uwierzyć:

— Ktoś musi zbierać ciała po bitwie. Nie mogą tak latać przez wieczność po swoich orbitach. Zasługują na to, aby je pogrzebać.

Gorycz Logana zadała kolejny, nawet jeszcze głębszy cios:

— Kogo ty próbujesz przekonać? — Pozbierał się już na nogi. — Ja, to co innego. Mam prawo do latania na tym statku. Byłem na innej wojnie.

— Jesteś łgarzem — odciął się Brandon. — Szukałeś radu na asteroidach z holownikiem do skał. Wziąłeś tę robotę na Statku Kostnicy po to, żeby dalej sobie szukać swojego radu, zbierając ciała tylko na boku.

Logan delikatnie się roześmiał, wcale nie radośnie.

— I co z tego? Przynajmniej nie jestem tchórzem. Rozwalę każdego, kto stanie mi na drodze. — Przemyślał swoje słowa. — Chyba że — dodał — tamten mi da trochę forsy.

Brandon odwrócił się, czując mdłości. Zmusił się do wspięcia się po drabinie w stronę tej śluzu, w której leżało nowe ciało, najnowszy martwy płód wyrwany kosmosowi przez system wyłapujący. Jego dłonie pozostawiały lśniąco ślady na kolejnych szczeblach. Stawiane krok za krokiem, coraz wyżej, stopy stuknęły delikatnie w zimnej cisy metalu.

Ciało leżało na środku zimnej śluzu powietrznej, podobnie jak wcześniej przed nim leżały już tysiące innych. Wyglądało jakby pograżone było we śnie, odprężone i na zawsze milczące.

**B**randon głęboko odetchnął. Z odrętwieniem uświadomił sobie, że to nie jego syn. Za każdym razem kiedy znajdowali nowe zwłoki, bał się, a jednocześnie miał nadzieję, że będzie to Richard. Richard, tak łatwo wybuchający śmiechem, o ciepłym uśmiechu i ciemnych pofalowanych włosach. Richard, który teraz leciał gdzieś przez kosmos, w kierunku jakiegś odległej wieczności.

Oczy Brandona rozszerzyły się. Upadł na kolana i szybkim spojrzeniem oczu zarejestrował najważniejsze elementy tego dziwnego munduru, zawierającego w środku młode ciało. Serce waliło mu mocno, a kiedy wstał ponownie, zachowywał się jakby solidnie dostał po głowie. Podszedł do drabinki niepewnym krokiem.

— Logan! — zawołał w dół przez dziurę, otępiłym głosem. — Logan, chodź tu na górę. Szybko!

Logan wspinał się leniwie, wyrzucając z siebie chrząknięcia i chmury dymu.

— Spójrz tylko — powiedział Brandon, wracając i ponownie klękając koło ciała.

Logan popatrzył i nie wierzył w to co widzi.

— Skąd ty, u diabła, go wzięłeś?

Twarz leżącego ciała, wyglądała jak bryła śniegu, obramowana przez hebanową czerń jego włosów. Oczy przypominały wetknięte w śnieg niebieskie klejnoty. Smukłe palce zmarłego ułożone były na biodrze. Ale najważniejszy z tego wszystkiego był krój srebrnego, metalizującego munduru, szary skórzany pas i trójkącik z brązu na nieruchomej piersi, na którym widniał numer 51.

Logan przytrzymał się szczebli.

— Sprzed trzystu lat — wyszeptał. — Sprzed trzystu lat — powtórzył.

— Tak. — Cyfry numeru wystarczyły Brandonowi. — Po tych wszystkich wiekach, w takim doskonałym stanie... Popatrz tylko jak spokojnie wygląda. Twarze większości zabitych, nie wyglądają... miło. Coś się wydarzyło, trzysta lat temu, i od tego czasu tak sobie dryfuje samotnie przez kosmos. Ja... — Brandon złapał powietrze.

— Co się stało? — rzucił ostro Logan.

— Ten człowiek — stwierdził Brandon ze zdziwieniem — popełnił samobójstwo.

— Z czego to wnioskujesz?

— Na jego ciele nie ma żadnego śladu dekompresji, siły odśrodkowej, dezintegratora, czy oparzenia od strzału z promiennika. On po prostu wyszedł ze statku. Dlaczego naukowiec z 51 Kręgu miałby popełniać samobójstwo?

— Wtedy, w przeszłości też były wojny — odparł Logan. — Ale to jest pierwszy raz w życiu, kiedy widzę któregoś z nich sztywnego. To nie powinno się wydarzyć. Powinien być cały porozbijany przez meteory.

Dziwny dreszcz przebiegł po plecach Brandona.

— Kiedy byłem dzieciakiem, przypominam sobie, jak kiedyś przeglądając książki historyczne, czytałem o tych słynnych naukowcach z Kręgu 51, którzy zajmowali się pracami eksperymentalnymi na Plutonie, w 2100 roku. Przypominałem sobie jak wyglądały ich mundury i ta brązowa odznaka. Niemożliwe, abym to pomylił. Krążyły pogłoski, że oni eksperymentują z jakąś nową, bronią o uniwersalnej sile.

— Mit — stwierdził Logan.

— Kto wie? Być może. A może wcale nie. Ale zanim ta superbroń została ukończona, Ziemia padła pod atakiem Marsa. Naukowcy 51 zabili się i zniszczyli swoją bazę, kiedy nadciągnęli Marsjanie. Ten... mit... twierdzi, że gdyby Marsjanie przybyli choćby miesiąc później, broń wyszłaby już z fazy papierowej, zmieniając się w metalowy prototyp.

Brandon przestał mówić i patrzył na długokościstego, spokojnie śpiącego naukowca.

— A teraz wypłynął, ten tutaj. Jeden z oryginalnych 51. Ciekawe jak to się stało? Może próbował uciec na Ziemię i wyskoczył w kosmos, żeby uciec przed Marsjanami? Logan, powinniśmy zabrać ten zabytek

historyczny ze sobą, ściągnąć go z kosmosu i przewieźć zimnego i sztywnego pod naszą opieką.

Logan roześmiał się z ciężką duszą.

— Taaa. Cholera, gdybyśmy chociaż mieli tę broń. Boże, to naprawdę byłaby rzecz, którą można by nawet opiewać w pieśniach.

Brandon wzdrygnął się.

Logan popatrzył na niego.

— Co cię gryzie?

Brandon położył palce na głowie martwego naukowca.

— Być może... tylko być może... mamy tę broń w ręku — powiedział.

Palce mu drżały.

**P**ompy koronera dudniły buchały gorącem spod stołu, a macki manipulatorów śmigały szybko i efektywnie ponad ciałem martwego naukowca. Brandon także poruszał się jak maszyna. Wpadłszy w regularną furję, zmusił Logana, aby natychmiast przeniósł ciało do pomieszczenia, w którym dokonywano wstępnych przygotowań, wstrzykiwano adrenalinę, jednostki termiczne, stosowano pompy krwi i wykonywano tysiące innych trudnych i nie cierpiących zwłoki zadań.

— Teraz, zejść mi z drogi, Logan. Jesteś bardziej przeszkodą niż pomocą!

Logan odsunął się na bok.

— Dobrze już, dobrze. Robisz się zrzędlivy. Nie mam ochoty się nim zajmować. Ciągłe ci to powtarzam, przez te wszystkie lata.

Brandon nic nie widział. Głos Logana był stłumiony, tak jakby dobiegał gdzieś z oddali. Czuł tylko falę odgłosów pracy pomp, upalne gorąco małego pomieszczenia i miał przed oczyma niszę numer 12, czekającą na to ciało, gdyby mu się nie powiodło. Brandon przełknął z trudem ślinę. Nisza numer 12 czekała, zimna, gotowa do przyjęcia ciała, które ją wypełni. Musiał walczyć o to, żeby dalej pozostawała pusta.

Zaczął nucić słowa jakiejś piosenki, powtarzając je w kółko, i w kółko, przez cały czas, wstrzykując do ciała kolejne stymulanty. Nie wiedział skąd te słowa pochodzą, może z dzieciństwa, może z jego dawnych wspomnień religijnych:

— Łazarzu, wstań — mówił miękko Brandon, nisko się nachylając, przesuwając macki manipulatorów. — Łazarzu, wstań.

Logan parsknął.

— Łazarz! Widzicie go!

Brandon musiał mówić pod nosem:

— W głowie ma informacje o broni energetycznej, której mogłaby użyć Ziemia, aby zakończyć tę wojnę. Były w nim zamrożone przez ostatnie trzysta lat. Gdyby udało nam się teraz to z niego wyciągnąć...

— Kto słyszał o ożywianiu ciała po tak długim czasie?

— Zachował się w doskonałym stanie. Idealnie zamrożony. O Boże, to jest przeznaczenie. Wiem to. Czuję to. Przybyłem tu, aby znaleźć

Richarda, a znalazłem coś znacznie większego! Łazarzu! Łazarzu, wyjdź z grobu!

Maszyny zabuczały głośniejsze, łomocząc mu w uszach. Brandon słuchał, obserwował, wypatrując choćby jednego drgnienia pulsu, choćby jednego uderzenia serca, jednego znaku, jednej chwili życia.

— Powietrze dla płuc — i Brandon przymocował stożek maski tlenowej na drobnym nosie i rozluźnionych wargach. — Ucisk na żebra. — Metalowe płyty, mające ścisnąć klatkę żeber powoli wysunęły się i otoczyły ją ze wszystkich stron. — Krążenie. — Brandon dotknął urządzenia sterującego u podnóża stołu i cały stół zaczął kołysać się do tyłu i do przodu, w jęklwym rytmie ucisku i rozluźnienia.

Przez system audio buchnęło wezwanie:

— Statek Kostnica. Jednostka Bojowa 766 wzywa Statek Kostnicę. Poza orbitą Plutona 234CC, kropka zero dwa, plus 32, jeden do siedem, i dalej. Właśnie zakończyła się bitwa. Sześć marsjańskich statków zniszczonych. Jeden statek ziemski rozerwany wybuchem i ciała wyrzucone w kosmos. Proszę odzyskać. 79 ludzi. Ciała na orbicie w stronę słońca z prędkością 23456 na godzinę. Koniec.

Logan wyrzucił papierosa.

— To do nas. Mamy robotę. Lećmy. Zostaw tego sztywniaka zimnego. Będzie tu ciągle, kiedy wrócimy.

— Nie! — Brandon niemalże to wykrzyczał, z dzikimi oczyma. — On jest ważniejszy, niż ci wszyscy ludzie w kosmosie. Możemy pomóc im później. On może nam pomóc już teraz!

Stół zatrzymał się, wywołując absolutną ciszę.

Brandon nachylił się, aby przyłożyć ucho do ogrzanej klatki piersiowej.

— Czekaj.

Było. Niewiarygodne, ale było. Słabiutkie pulsowanie, jakby gdzieś tam pod spodem siedział jakiś termity i ospale poruszał się przez ciało, dżgając serce i...

— JEST! — wykrzyknął Brandon.

Był zupełnie roztrzęsiony. Puścił ponownie w ruch maszynę, gadając przez cały czas do siebie i śmiejąc się, wyglądając przy tym jak szalony.

— On żyje! On żyje! Łazarz wstał z grobu! Łazarz ponownie się odrodził! Natychmiast zawiadom Ziemię!

**P**o upływie godziny, puls miał już normalny rytm, temperatura opadała ze stanu gorączkowego, a Brandon chodził po całym pomieszczeniu przygotowawczym, wypatrując każdego drgnienia wewnętrznych organów ciała, przez tubę fluoroskopu.

Był niezmiernie uradowany. To było tak, jakby Richard ożył ponownie. To była kompensacja. Rzucił się z krzykiem w kosmos, szukając w nim utracanego szacunku dla siebie samego, swej dumy, szukając syna, który mknął w nicość po jakiejś milczącej orbicie, a teraz w jego ręce złożone zostało największe dziecko Fortuny, aby ogrzać je i przywrócić do życia. To było niemożliwe. To było wspaniałe. Brandon niemalże się roześmiał.

Nieomal zapomniał, że kiedykolwiek poznał strach przed śmiercią. To oznaczało jej pokonanie. To było tak, jakby sprowadził z powrotem do życia Richarda, a nawet więcej. Oznaczało to tak wiele rzeczy dla Ziemi i dla ludzkości; rzeczy związanych z bronią, potęgą i pokojem.

Logan przerwał upojne myśli Brandona, dmuchając mu prosto w twarz dymem.

— Wiesz co, Brandy? To coś cholernie wspaniałego! Naprawdę coś zrobiłeś, Szanowny Panie. Taaa.

— Myślałem, że kazałem ci powiadomić Ziemię.

— Ach, pilnowałem ciebie. Jak mama-kwoka swoje kurczątko. Ale też miałem czas trochę sobie pomyśleć. Taaa. — Logan strząsnął popiół z papierosa. Od chwili, kiedy złowiłeś tę złotą rybkę, przez cały czas chodziło mi to po głowie.

— Idź do kabiny radiowej i połącz się z Ziemią. Musimy natychmiast przerzucić naukowca do Bazy Księżycowej. Porozmawiać możemy sobie później.

W zwężonych oczach Logana znowu pojawił się ten twardy zielony błysk. Wycelował palec w Brandona.

— Ja myślę o tym w taki sposób. Czy dostaniemy jakąś nagrodę za znalezienie tego człowieka? Do diabła, nie. To nasza rutynowa robota. My, mamy zbierać ciała. A tutaj mamy gościa, który jest kluczem do całej tej przeklętej wojny.

Wargi Brandona niemalże się nie poruszyły.

— Wywołaj Ziemię.

— Zaraz, wytrzymaj jeszcze chwileczkę, Brandy. Pozwól mi dokończyć myśl. Pomyślałem sobie, że Marsjanie również chętnie położyliby na nim łapę. Pewnie chcieliby być gdzieś w pobliżu, kiedy zaczniesz mówić.

Brandon wyciągnął pięść.

— Słyszałeś, co powiedziałem.

Logan schował ręce za plecy.

— Chciałem tylko spokojnie z tobą porozmawiać, Brandy. Nie szukam guza. Ale wszystko, co dostaniemy za znalezienie tego sztywniaka, to pocałunek w policzek i medal na pierś. Do diabła!

Brandon miał już solidnie mu przyłożyć, kiedy zobaczył jak dłoń Logana wyskakuje zza pleców z pistoletem w palcach, celując nim prosto w niego.

— Popatrz tylko na to, Brandy i nie trać zimnej krwi.

Wbrew sobie, Brandon zawahał się. To było niemal mimowolny odruch. Jego całe ciało rzuciło się do tyłu, z bólem, odepchnięte przez widok broni.

— A teraz, idziemy do kabiny radiowej. Mam trochę rozmów do załatwienia. No, dalej. Jazda!

W kabinie radiowej Logan poruszył kilkoma gałkami, uniósł mikrofon do warg i powiedział:

— Wzywam Marsa. Wzywam Marsa. Tu Statek Kostnica z Ziemi. Mars, odpowiedzcie.

Po pewnym czasie Mars odpowiedział. Logan oznajmił:

— Właśnie odnaleźliśmy ciało naukowca 51 Kręgu. Został przywrócony do życia. Dajcie mi waszego dowódcę floty. Mam z nim parę spraw do omówienia. — Logan uśmiechnął się. — Och, witam, panie dowódcu!

**P**ół godziny później, dyskusje były już zakończone, plany poczynione. Logan rozłączył się, usatysfakcjonowany. Brandon patrzył na niego tak, jakby nie mógł uwierzyć, że robi to wszystko na poważnie.

Kiedy znaleźli się z powrotem w pomieszczeniu sterówki, Logan ustawił kurs, a potem zmusił Brandona, aby przygotował ciało. Chętnie się zawartą umową.

— Pół tony radu, Brandy! Nieźle, co? Dobra zapłata. Więcej niż Ziemia do tej pory zapłaciła mi za całą normalną służbę.

Brandon wzdrygnął się.

— Jesteś głupcem. Marsjanie nas zabiją.

— Ach-cha. — Logan gestami kazał mu przenieść ciało na stół na kółkach i zabrać je do śluzy dla szalup ratunkowych. — Nie jestem taki tępy. Każę ci wyładować tę szalupę po brzegi materiałami wybuchowymi. Najpierw odbierzemy minerały. Wysadzimy ciało, gdyby Marsjanie za bardzo kombinowali. Każemy im poczekać, dopóki nie będziemy mieli w rękach naszej połówki tony i zażądamy pięciu godzin lotu przewagi w kierunku Ziemi, zanim pozwolimy im zabrać ciało. Nieźle, co?

Brandon zajął się zadaniem wyładowania szalupy materiałami wybuchowymi.

— Sam zakładasz sobie pętlę na szyję. Oddajesz taką broń w ręce marsjańskiego wroga.

Po Loganie znowu to spłynęło.

— Kiedy Marsjanie podejmą ciało, a my będziemy już bezpiecznie w drodze do domu, nacisnę przycisk i to całe przekłute cholerstwo wyleci w powietrze. To się nazywa wystawić wroga do wiatru.

— Zniszczysz ciało?

— Do licha, tak. Czy myślisz, że chciałbym aby taka broń wpadła w ręce wroga? Uuch!

— Wojna będzie się ciągnęła przez całe lata.

— A więc, Ziemia będzie jakoś musiała wymyślić sposób na pokonanie przeciwnika. Robimy postępy, powoli ale bez cienia wątpliwości. A kiedy wojna się już skończy, będę miał całą górę radu, aby ustawić się w biznesie, i przed sobą wspaniałe perspektywy na przyszłość.

— I dlatego zabijesz miliony ludzi.

— A co oni zrobili dla mnie? Zrujnowali moje bebechy w ostatniej wojnie.

Musiał być jakiś argument, coś co mógłby powiedzieć, szybko, coś co przekonałoby takiego człowieka jak Logan. Brandon myślał pośpiesznie.

— Posłuchaj Logan, możemy to tak rozegrać, aby ocalić ciało.

— Nie bądź śmieszny.

— Włóż jakieś inne ciało do statku, który wyślemy. Ocal ciało Łazarza i zwieź z nim na Ziemię! — nalegał Brandon.



Mały asystent pokręcił przecząco głową.

— Marsjanie użyją skupionej na szalupie wiązki promieniowania przenikliwego, zaraz jak tylko znajdą się w odległości mniejszej niż sto tysięcy mil od niej. Będą w stanie stwierdzić, czy ciało jest żywe, czy martwe. Nie ma szans, Brandy.

Wystarczy tylko rzucić się na niego, pomyślał Brandon. To była po prostu mieszanina frustracji, wściekłości i nieprzemyślanego działania. Brandon odbił się i skoczył. Logan nawet nie mrugnął okiem, naciskając spust swojego paralizatora. Wystrzał sparaliżował pod nim nogi i Brandon upadł wpół kroku. Broń spryskała mu również brzuch, pierś i twarz przemijającym deszczem rozgrzanych do czerwoności igiełek. Zapadła ciemność.

**O**budziło go niewyraźne wrażenie pustki i przyśpieszenia o ujemnej mocy. Zawrót głowy związany z chwilą działania bezwładności. Brandon zmusił swoje oczy do bolesnego otwarcia się, i stwierdził że jest sam w pomieszczeniu przygotowawczym, leży rozciągnięty na jednym ze stołów koronera, związany metalowym kablem.

— Logan! — ryknął w głąb statku. Powtórzył to: — Logan!

Zaczął szarpać metalowym przewodem, łączącym mu dłonie i okręcającym ramiona. Szarpnął się do przodu i do tyłu. Więzy trzymały całkiem dobrze, poza niewielkim luzem w mocowaniu prawej dłoni. Zaczął nad nim pracować. Z góry dobiegał dziwny, bezosobowy głos Marsjanina, intonujący:

— 500 tysięcy mil. Statek Kostnica, przygotujcie waszą szalupę ratunkową, z ciałem naukowca w środku. Na 300 tysiącach mil, wypuście szalupę. My wyślemy nasz statek z wynagrodzeniem w minerałach już teraz, dając wam pół godzinny margines czasu na przechwycenie go. Zawiera on dokładnie kwotę, jakiej żądaliście.

Potem odezwał się głos Logana.

— Dobrze. Naukowiec ciągle żyje i ma się dobrze. Dostaniecie swój towar.

Twarz Brandona pobladła, pojawiły się na niej wszystkie jego twarde, wystające kości, policzków, brwi, i podbródka. Szarpnął się dziko w swych więzach, wyciskając tylko całe powietrze z płuc, i zaszlochał. Ciężko oddychając, położył się na plecach. Zabierali jego dziecko z powrotem w kosmos. Łazarz, jego drugi syn, którego wyrwał kosmosowi przy pomocy metalowego chwytaka, i ożywił. Zabierali go z powrotem w kosmos i z dala od niego. Nie mógł mieć swego prawdziwego syna, a więc znalazł sobie drugiego, wtłoczył w niego oddech i życie, oddech i świadomość, a nie minął jeszcze nawet dzień, a oni już próbują wyrwać go z powrotem z jego ramion. Brandon niemal wył walcząc ze swymi drucianymi okowami. Pot zalewał mu twarz, a z oczu spływał nie tylko pot.

Logan zszedł na paluszkach po twardych metalowych szczeblach, uśmiechnięty od ucha do ucha.

— Obudziła się nasz śpiąca królewna?

Brandon nic mu mniej odpowiedział. Jego prawa dłoń była wolna. Była mokra i wolna, kryjąc się z boku jak małe, białe zwierzątko, po wyslizgnięciu się z drucianej pułapki.

— Nie możesz tego kontynuować, Logan.

— A czemu?

— Ziemski Trybunał dowie się wszystkiego.

— Ty im tego nie powiesz — Logan robił coś po drugiej stronie pomieszczenia. Był jedyną poruszającą się rzeczą, w otoczeniu stu półek chłodzących, wypełnionych śpiącymi wojownikami.

Brandon złapał głębszy oddech, próbując się podnieść, opadł z powrotem.

— Jak sfabrykujesz moją śmierć?

— Przy pomocy zastrzyku sulfacardium. Atak serca. Zbyt wiele emocji jak dla tak starego serca. Proste. — Logan odwrócił się, a w jego dłoni widać było strzykawkę.

Brandon leżał bez ruchu. Statek posuwał się naprzód. Ciało leżało na górze, oddychając w metalowej kołysce, ciało któremu matkował, wyrwał je z rąk śmierci, a teraz miało opuścić go na zawsze. Brandon zdołał powiedzieć:

— Zrobisz mi przysługę?

— Jaką?

— Daj mi ten środek już teraz. Nie chcę być świadomy, kiedy wyślesz Łazarza w kosmos. Nie chcę tego widzieć.

— Pewnie. — Logan przeszedł przez pokład i uniósł strzykawkę. Światło połyskiwało srebrzyście na ostrym czubku igły.

— Jeszcze jedna rzecz, Logan.

— Pośpiesz się tylko!

Miał wolną wyłącznie jedną rękę, a jedną nogą był w stanie lekko poruszyć. Logan nachylił się już nad stołem. Strzykawka zawisała z wahaniem w jego palcach.

— To! — zawołał Brandon.

**J**edną stopą Brandon kopnął dźwignię kołyski masażu serca, u podstawy stołu. Błat, z jękiem, zaczął się szybko unosić. Wolną ręką, błyskawicznie, wykręcając się najmocniej jak tylko mógł w uścisku kabla, Brandon złapał głowę wrzeszczącego Logana i wcisnął ją pod stół, pod opadający blat. Błat i metalowa podstawa zsuwały się razem, dochodząc do rozstępu trzech cali. Logan krzyknął jeszcze tylko jeden raz. Odgłosy jakie wydawał potem były tak straszne, że Brandon zwymiotował. Ciało Logana zwiotczało i zwisło nieruchomo, ręce luźno zawisły, strzykawka wypadła z nich i rozbiła się na podłodze.

Stół ciągle poruszał się w górę i w dół, w górę i w dół.

Brandon z każdym jego ruchem dostawał coraz większych mdłości. Całe pomieszczenie wirowało mu w oczach, przewalało się, szaleńczo obracało. Ciała leżące w swoich niszach wydawały się obracać razem z nim.

Udało mu się kopnięciem przestawić dźwignię w pozycję neutralną i stół zatrzymał się, uniesiony w nogach, tak że krew dudniła gorącym strumieniem w głowie Brandona, malując jego pobladłą twarz kolorami, rozjaśniając ją. Serce waliło mu szaleńczo, a wiszący na ścianie pomieszczenia chronometr kolejnymi kliknięciami odmierzał upływający czas; upływający czas i upływające razem z nim mile, pokonywane przez coraz bardziej zbliżających się Marsjan...

Przez cały czas walczył z pozostałymi kablami, przeklinając, brocząc strużkami i smużkami krwi z nieosłoniętych nadgarstków, kostek i bioder. Czerwone światełka buczały na suficie jak owady, oznajmiając:

— NADLATUJE RAKIETA... NIEZNANY POJAZD... ZBLIŻA SIĘ RAKIETA...

Trzymaj się, Łazarzu. Nie pozwól, żeby to oni cię obudzili. Nie pozwól, żeby cię zabrali. Lepiej już byłoby dla ciebie, gdybyś zasnął na zawsze.

Przewód na jego lewym nadgarstku puścił z trzaskiem. Pozbycie się więzów na kostkach, zajęło kolejne pięć minut. Statek przez cały czas posuwał się dalej, zdecydowanie za szybko.

Nie patrząc na ciało Logana, Brandon zeskoczył ze stołu i z ogromnym zmęczeniem próbował zmusić się do szybszej wspinaczki po drabinie. Jego umysł pędził naprzód, ale ciało było w stanie tylko powoli wchodzić szczebel po szczeblu, do kabiny radiowej. Właz szalupy ratunkowej był szeroko otwarty, a w środku leżał sobie spokojnie Łazarz, z różowymi policzkami i delikatnie drgającym na szyi pulsem, nieświadomy, niezdający sobie sprawy, że koło niego pojawił się jego nowy ojciec.

Brandon zerknął na zegarek na nadgarstku. Niemalże zbliżał się już czas na zatrzaśnięcie tego włazu, na wyrzucenie Łazarza w szalupie w kosmos, na spotkanie Marsjan. Pięć minut.

Staął na chwilę, zdenerwowany. Potem postanowił wysłać wąską wiązkę sygnału audio, w stronę zielonej Ziemi. Ziemi.

— Statek Kostnica zmierza do domu! Statek Kostnica zmierza do domu! Ważny ładunek. Ważny ładunek. Proszę o spotkanie koło Księżyca!

Ustawiając stery statku w tryb automatycznej koordynacji, poczuł jak pod nim potężne silniki budzą się gwałtownie do życia. W jego ciele zapulsował nie tylko wstrząs wywołany przez ich działanie. To było również coś zrodzone w nim samym. Czuł się źle. Tak strasznie bardzo chciał wracać na Ziemię, że chwyciły go gwałtowne zawroty i mdłości, wywołane przez to pragnienie. Żeby zapomnieć o całej tej wojnie i śmierci.

Mógłby oddać Łazarza wrogowi, a potem skierować się w stronę domu. Tak, przypuszczał że byłby w stanie to zrobić. Ale poddać się w chwili, kiedy zmusiło się do poddania się jednego z przeciwników? Nie. Nie. Albo może w obecnej sytuacji zniszczyć ciało? Brandon przez chwilę dotknął palcami swojego pistoletu laserowego. Potem odrzucił tę myśl od siebie, z zamkniętymi oczyma, chwiejąc się na nogach. Nie.

A może po prostu spróbować uciec na Ziemię? Marsjanie ruszyliby za nim w pościg i złapali go. Statek Kostnica nie miał dostatecznie dużej prędkości, żeby wyprzedzić mocniejszy pojazd.

Brandon krążył niespokojnie koło śpiącego naukowca. Przez chwilę popatrzył na niego, dotknął go, spojrzał na niego z utraconym światłem w oczach.

Potem rozpoczął ostatnie przygotowania, biorąc naukowca i przenosząc go do szalupy ratunkowej.

**M**arsjanie przechwycili szalupę ratunkową o 5199CVZ. Samego Statku Kostnicy nie było nigdzie widać. Wcześniej już zakończył swój zwrot i kierował się pełną mocą silników w stronę Ziemi.

Ciało Łazarza zostało pośpiesznie przeniesione do przedziału medycznego w marsjańskiej rakiecie. Położono je na stole i natychmiast podjęto działania w celu wyprowadzenia go z trwającego przez wieki stanu spoczynku.

Łazarz leżał wyciągnięty, w srebrnym mundurze przepasanym przez środek miękką, mysio-szarą skórą, z brązowym symbolem 51 błyszczącym nad sercem.

Z zapartym tchem Marsjanie tłoczyli się wokół ciała, badając je, sprawdzając, próbując i czekając. W pomieszczeniu zrobiło się bardzo ciepło. Małe purpurowe oczka błyszczały z gorąca i napięcia.

W obecnej chwili Łazarz już głęboko oddychał, z każdym tchem wracając do pełni świadomego życia. Łazarz wychodził z grobu. Po trzyestu latach pokonanej śmierci.

Po obu stronach stołu lekarskiego stali uzbrojeni strażnicy, z wycelowaną bronią, z gotowymi przyrządami do tortur, aby zmusić Łazarza do mówienia, gdyby nie chciał odpowiadać.

Oczy Łazarza otworzyły się z drgnieniem powiek. Łazarz wstał z grobu. Łazarz widzący otaczający go tłum, wytrzeszczający na niego oczy, zmuszając się by wydobyć ich kształty z mgły. Widzący dziwaczne niebieskie czaszki Marsjan, zgromadzone w oczekującym wokół niego tłumie. Łazarz żywy, oddychający, gotów do tego, by mówić.

Łazarz uniósł głowę, z ciekawością, rozsunął wargi i zwilżył je językiem, a potem przemówił. Jego pierwsze słowa brzmiały:

— Która jest godzina?

To było proste zdanie, i wszyscy Marsjanie nachylili się do przodu aby wychwycić jego znaczenie, podczas gdy jeden z nich odparł:

— 23:45.

Łazarz skinął głową, zamknął oczy i z powrotem się położył.

— Dobrze. Do tej pory jest już bezpieczny. Jest bezpieczny.

Marsjanie zbliżyli się do środka, czekając na następne ważne słowa, obudzonego martwego.

Łazarz zacisnął mocniej oczy i zadrżał lekko, pomimo swych wysiłków, ale nie mógł tego powstrzymać.

Powiedział:

— Nazywam się Brandon.

A potem Łazarz roześmiał się...

KONIEC